Nr. 8 | Należyt. poczt. opł. ryczałt. | We Lwowie, 16 kwietnia 1931 | Rok 53

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej
Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarnykozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie-kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

KOMUNIKAT

Pokaz trofeów myśliwych urządzony w dniach od 2 do 10 maja br. w Warszawie obejmuje trofea zdobyte od wystawy łowieckiej w Poznaniu po koniec lutego 1931. — Dawniejsze trofea będą jednak też chętnie widziane poza konkursem. — Zgłoszenia przyjmuje Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich Warszawa Nowy Świat 35.

Do nabycia w Biurze M. T. Ł., Lwów, ul. Ossolińskich 11. III p.

C. C. G.: Wspomnienia z rykowisk . . . . zł 6·—
Kobylański J. Wł.: Humor i łacina myśliwska „ 1·50
— O dawnych i obecnym zwierzyńcu w Krakowie 1·50
— Jak powstał w odrodzonej Polsce pierwszy zwierzyniec w Warszawie . . . „ 3·—
— O zwierzyńcu w Katowicach . . . . „ 3·—
Lisowice III. tom . . . . „ 5·—
Krogulski Seweryn: Pół Wieku . . . . . „ 3·—
Mniszek Albert: Jarząbek . . . . „ 3·—
Orski St. W.: A było to wczas rano . . . „ 6·—
Ostrowski Stefan: Z piersi myśliwego . . . „ 2·25
Roczniki „Łowca" z lat poprzednich . . . zł 15·—
Roczniki „Łowca" od 1928 r. . . . . . . „ 20·—
Sztolcman Jan: Żubr . . . . „ 3·30
Ustawa Łowiecka Gal. z r. 1910 . . . . . „ —·30
Ustawa Łowiecka . . . . „ 0·80
Wodzicki hr. Kazimierz: Wspomnienia z życia łowieckiego . . . . „ 3·50
— „Słonka" . . . . „ 2·50
Ziembicki Witołd: Bibljografja prac Kazimierza hr. Wodzickiego . . . . . . „ 1·50

z doliczeniem opakowania i porta

TREŚĆ NUMERU 8:

Nr. 8 We Lwowie, 16 kwietnia 1931 Rok 53



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

Członkom M. T. Ł. Oddziału Krakowskiego zwracamy uwagę na ogłoszenie terminu dorocznego Ogólnego Zebrania (strona 125)

WALERY MARYAŃSKI gen. bryg.

Doświadczenia z prochem „SOKÓŁ"

Czyniąc zadość wezwaniu „Łowca" Nr. 3 z 1 lutego 1931, śpieszę się podzielić z Sz. Cz. spostrzeżeniami, poczynionemi z naszym prochem „Sokołem".

Obserwując uważnie wszystkie przejawy jego działania tak w lecie i jesieni, polując na ptactwo, jak i w zimie przy polowaniach na zające i wystrzeliwszy w tym sezonie około 500 nabojów do zwierzyny — doszedłem do absolutnej dla mnie pewności, że sam proch jest doskonały.

Jeden warunek jednak! „Sokół" należy do prochów trudniej zapalnych, niż niemiecki „Rottweil" i potrzebuje odpowieednio silnej spłonki.

Doświadczenia z prochami bezdymnemi wykazały, że każdy gatunek bezdymnego prochu wymaga specjalnie do jego zapalności dostosowanej spłonki — w odróżnieniu np. od prochu dymnego, który każda, choćby najsłabsza spłonka do pełnej eksplozji doprowadza.

Przy bezdymnych prochach daje za słaba spłonka „zaciąg" — albo „niewypał"*) — za mocna wywołuje za nadto szybkie spalenie się prochu, któremu towarzyszy za silne ciśnienie gazów na lufę.

Ulubionym środkiem „poprawienia" zapału spłonki była do niedawna t. zw. „podsypka" czarnego prochu, dawana na dno łuski; umiejętnie zastosowana (t. j. ani za duża, ani za mała) może spełnić to zadanie, bo wiadomą jest rzeczą, że czarny proch najlepiej doprowadza do eksplozji każdy nitroproch. Ale ileż luf, ile broni poszło w kawałki, ile ciężkich okaleczeń spowodowała nieumiejętność w tym kierunku! Dlatego zastosowanie podsypki (koniecznej np. w Rigby'ach) zostawmy fachowym rusznikarzom i fabrykantom amunicji — a z podsypki pod nabój śrutowy raczej zrezygnujmy, szukając dla danego prochu odpowiedniej spłonki.

Fabrykacja jednak dobrej spłonki nie jest rzeczą łatwą i wymaga prócz fachowości, całego szeregu żmudnych prób.

Jako klasyczny przykład przytoczę dzieje austrjackiego śrutowego prochu bezdymnego t. zw. „Jagdpulver Nr. I", który gdzieś między 1898—1900 się ukazał. Ile skarg przez kilka pierwszych lat było pod jego adresem?! A przyczyna leżała nie w prochu, który był istotnie bardzo dobry — lecz w braku odpowiedniej spłon-

*) Pod tym ostatnim rozumiem także wyrzucenie śrutu z lufy jedynie gazem spłonki przy zupełnej nieczynności ładunku prochu.

ki. Dopiero konstrukcja spłonki marki „Schnepf" o formie małej flaszki, rozwiązała ostatecznie problem pewnego zapalania tego prochu — i od tego czasu proch ten, na który tak bardzo narzekano — okazał się nagle znakomitym.

Tę „dziecinną chorobę" przechodzi — zdaje się — każdy nowy proch bezdymny — a więc i nasz „Sokół" nie robi wyjątku.

— Ależ jakich spłonek trzeba użyć, by przy „Sokole" uniknąć „zaciągów", — przerwie mi zniecierpliwiony Szanowny Czytelnik.

— Cierpliwości! Sz. Cz.! Już służę odpowiedzią konkretną!

Oto osobiście zrobiłem doświadczenie, że spłonki „Gevelot" pochodzenia z niemieckiej fabryki Uttendörfera i austrjackie marki Hirtenberg, absolutnie pewnie, nawet na bardzo dużym mrozie doprowadzają proch „Sokół" do pełnej eksplozji, dając strzał silny i ostry.

Np. na jednem polowaniu przy temperaturze — 14° C wystrzeliłem około 40 ładunków, nabitych „Sokołem" bez niewypału lub „zaciągu".

Przyczyną skarg na proch „Sokół" są bez wątpienia spłonki.

Przypatrzmy się jak stoi sprawa z krajowym wyrobem spłonki i przejdźmy chronologicznie jego rozwój, to zobaczymy jasno źródło niepowodzeń.

Otóż pierwsze były Zakłady Amunicyjne „Pocisk", które mniej więcej przed trzema laty zaczęły dla swoich zresztą bardzo dobrych łusek, wyrabiać spłonki mosiężne o formie i konstrukcji Gevelot; te spłonki zapalały „Rotweil" (bo wówczas „Sokół" jeszcze nie istniał) pewnie i dobrze, ale były na ogół słabsze od oryginalnych niemieckich miedzianych Gevelotów i wywoływały intesywne rdzewienie luf.

Nastąpiło więc drugie stadjum wyrobu spłonek przez „Pocisk", również mosiężnych — jednak o innej wybuchowej materji, nie powodującej rdzewienia luf — i trochę silniejszych; zapalały one naturalnie „Rottweil" doskonale.

„Pocisk" jednak popełnił wedle mego zdania pewien błąd — a mianowicie nie uwidocznił ani na spłonkach, ani na pudełkach, ani na łuskach, że to są ulepszone spłonki. Rezultatem tego było, że na prowincję, dla „centusiów" i „Galileuszów" poszły spłonki, względnie łuski ze spłonkami jużto pierwszej (gorszej) — jużto drugiej (lepszej) edycji — i bałagan był gotów. Jedni bowiem ganili i narzekali, drudzy chwalili — potem ci ostatni, gdy dostali przypadkiem gorsze spłonki, przestali chwalić i zaczęli znowu na rdzewienie narzekać — i zaufanie, jakiem małopolski świat myśliwski zaczął tak szczodrze darzyć „Pociski" — zostało poważnie zachwiane.

W tej sytuacji wystąpił z początkiem r. 1930 na widownię pierwszy krajowy proch śrutowy „Sokół" a Państwowa Wytwórnia Prochu w Zagożdżoniu poruczyła generalne zastępstwo sprzedaży jego Warszawskiej Spółce Myśliwskiej.

Łuski Warszawskiej Spółki Myśliwskiej — aczkolwiek co do wytrzymałości i solidnego wykonania nie mogą iść w porównanie z „Pociskami" — odznaczały się zawsze doskonałą spłonką; mówiono nawet, że „Spółka" do swoich łusek sprowadzała z Niemiec oryginalne spłonki Uttendorfery, jedynie z inicjałami „Spółki": W. S. M. — ale czy to prawda — nie wiadomo.

Faktem jest, że tych nabojów Warsz. Spółki Myśliwskiej, nabitych „Sokołem" wystrzeliłem w ciągu lata b. r. około 200 sztuk i były doskonałe.

W międzyczasie nastąpiło w „Pocisku" dla wyrobu spłonek trzecie stadjum — a mianowicie wyrób miedzianych spłonek, które na zewnątrz wyglądały zupełnie, jak Uttedorfery — były silniejsze od mosiężnych spłonek drugiej edycji i zostały zastosowane do łusek „Luxus". Zapalały one dość pewnie proch „Sokół".

Równocześnie zaczął „Pocisk" zarzucać niemiecki „Rottweil" i zwrócił się do fabryki prochu w Sochaczewie, która zaczęła wyrabiać w konkurencji z Państwową Wytwórnią Prochu w Zagożdżoniu własny proch, łudząco podobny do „Sokoła" — tylko trochę łatwiej zapalny — nawiasem mówiąc równie dobry, „Sokół" lub „Rottweil".

Gotowe naboje Warszawskiej Spółki Myśliwskiej, nabite „Sokołem", jak i gotowe naboje „Pocisku" (białe „Normal" z kapslą mosiężną i pomarańczowe „Luxus" z kabslą miedzianą) nabite prochem Sochaczewskim, okazały się bardzo dobre.

Biada jednak, jeśli ktoś, fabrykując we własnym zarządzie naboje — do białych łusek „Normal" nasypał prochu „Sokół"; wtedy „niewypał" lub „zaciąg" był na porządku dziennym.

Również tańsze, zagraniczne łuski nie nadawały się do nabijania „Sokołem" z powodu za słabej spłonki.

Proch ze Sochaczewskiej fabryki nie był i nie jest do dziś — o ile mi wiadomo w handlu do nabycia. Kto więc chciał używać łusek „Pocisku", musiał nabijać je Rottweilem.

Sprawa więc była cokolwiek skomplikowana — ale na ogół nasi myśliwi zorjentowali się w niej i byli z krajowej amunicji zadowoleni.

Nagle gdzieś późnej jesieni ubiegłego roku zaczęły hymny pochwalne na temat krajowej amunicji raptownie milknąć — ustępując miejsca skargom z ust bardzo poważnych myśliwych i to pod adresem Warsz. Spółki Myśliwskiej.

Najdziwniejsze, że nie skarżyli się ci, którzy sobie sami fabrykowali naboje, lecz ci, którzy gotowe naboje w Warsz. Spółce Myśliwskiej kupowali, względnie przez bardzo poważne firmy rusznikarskie oryginalną amunicję Warsz. Spółki zamawiali. Starzy klijenci tych firm zwracali setki kupionych nabojów, robiąc srogie wyrzuty głównie na temat „zaciągów".

Coś się popsuło — ale co?

Ponieważ proch „Sokół" nie mógł się zepsuć i pod działaniem niemieckich lub austrjackich Gevelotów zawsze doskonale eksploduje — więc wina musi leżeć tylko w naszej krajowej spłonce.

Kierownik jednej bardzo poważnej firmy, interpelowany przeze mnie o przyczynę, twierdził, że Warszawska Spółka Myśl. zaczęła we własnym zarządzie wyrabiać spłonki — jednak jedna edycja ich wypadła marnie; mimo to miano ją wypuścić na rynek zbytu, i rezultatem tego jest, że zaufanie do krajowej amunicji, tak pięknie zapoczątkowane, bardzo dotkliwie i silnie zachwiane zostało. A wiadomą jest rzeczą, że nic nie jest tak trudne do zrewindykowania, jak raz stracone zaufanie do towaru.

Czy rację miał mój informator, nie wiem — nie są mi bowiem znane techniczne i komercjalne tajniki naszych fabryk amunicji.

Jest bardzo możebne, że mamy tu do czynienia z jakimś sabotażem fabrycznym zagranicznych firm konkurencyjnych, którym rozwój fabrykacji krajowej amunicji musi być solą w oku.

Nie wydaję więc o tem sądu.

Stwierdzam tylko fakt, że zastosowane w krajowych łuskach w ostatnich czasach spłonki — nie wyłączając miedzianych Gevelotów w „Luxusach" — okazały się za słabe i naraziły na szwank nasz doskonały krajowy proch „Sokół".

Wobec tego trzeba się zwrócić z generalnym apelem do naszych trzech wytwórni t. j. do „Pocisku", „Warsz. Spółki Myśl." i do „Fabr. Amunicji na Targówku" — by dołożyły starania i wyprodukowały istotnie dobre, dla naszego prochu, czy to „Sokoła", czy „Sochaczewa" odpowiednie spłonki — i oznaczywszy je tak, by rozpoznanie było łatwe — wszystkie łuski w nie zaopatrywały.

Do tego są te trzy wytwórnie moralnie zobowiązane, bo import „Rottweila" został przed kilku tygodniami reskryptem ministerjalnym zabroniony — a więc polski myśliwy — zdany na używanie prochu krajowego — ma wszelkie prawo żądać odpowiedniej do tego prochu spłonki.



ANTONI STARZEŃSKI

Wyprawa na wilki

Jedno z moich marzeń myśliwskich, polowanie na wilki, miało się tej zimy ziścić, a to dzięki uprzejmości hr. Wiktora Platera Zyberka, który mnie jeszcze w ubiegłym roku zaprosił do swego majątku Horodźca, położonego w najbardziej na północ wysuniętym kącie polskiej Białorusi, niedaleko granic łotewskiej i sowieckiej.

Wraz ze mną wybierał się też kuzyn mój Andrzej Mycielski. Tymczasem różne przeszkody uniemożliwiały nam wyjazd na tę ekspedycję, która wraz z podróżą miała trwać jakich 10 dni, tak że dopiero w drugiej połowie ubiegłego lutego mogliśmy wreszcie wyruszyć. Pora ta jest już nieco spóźnioną na wilcze łowy, bo o tym czasie wilki już nie chodzą stadami, jak w jesieni i zimie, tylko pojedyńczo ogromne wędrówki odbywają, przyczem nieraz na całe tygodnie ze swoich stałych rewirów się wynoszą.

Podróż nasza, długa i naogół monotonna, doznała tylko kilkugodzinnej przerwy w Wilnie, którą, czekając na dalszy pociąg, wykorzystaliśmy, by to nieznane nam obu miasto zwiedzić. Poza licznemi kościołami, cudowną Ostrą Bramą i ślicznym widokiem na miasto z Góry Zamkowej, niema wiele ciekawego w tem mieście, które robi jeszcze zupełnie wschodnie, czy rosyjskie wrażenie.

Późnym wieczorem dojechaliśmy na stację, gdzie miały nas oczekiwać konie. Były też rzeczywiście wąziutkie sanki, zaprzężone w jednego konia w dyszlach, a drugi idzie o kilka kroków naprzód na długim postronku i wyszukuje drogę. Podziwialiśmy spryt tego konia, kierowanego tylko głosem. Furman nas objaśnił, że mamy przed sobą 32 km drogi, a na zapytanie, czy nas wywali, odpowiedział, że ręczyć nie może, bo droga „obojętna", co w tut. narzeczu oznacza, że zła. — I słusznie tak rzekł, bo wprawdzie dowiózł nas cało do Horodźca i woził całemi dniami szczęśliwie po lasach, ale zato w powrotnej drodze do stacji w kilka dni później, leżeliśmy w śniegu pięć razy!

Lecz wobec tych śniegów i zasp szalonych, miejscami o kilkumetrowej wysokości, tak, że czasem tylko szczyty dachów chałup było widać, nie było to nic dziwnego. Zato sprzyjała nam cały czas pogoda, bo choć słońca nie było, ale mrozy były słabe, gdy jeszcze kilka dni przed naszym przyjazdem stale dochodziły do — 25 stopni z silnym wiatrem wschodnim.

Dzień po naszym przyjeździe nie było z lasów meldunków o wilkach, więc zwiedzaliśmy okolicę i sam Horodziec, który dawniej był wspaniałą siedzibą z ogromnym pałacem i ostoją kultury w tych odległych stronach, zupełnie zniszczony w czasie wojny, teraz znów z wielkim rozmachem się dźwiga, dzięki niestrudzonej pracy właściciela. Oczywiście dużo było mowy o wilkach i ich zwyczajach, gdyż nie znaliśmy zupełnie

bliżej tej zwierzyny. Leśnicy, z którymi rozmawialiśmy, często wspominali wilka ogromnych rozmiarów, Carem przez nich nazwanego, który w tamtejszych lasach od dwóch lat od czasu do czasu się pojawia, lecz zawsze szczęśliwie z obław na niego urządzanych się salwuje. Niestety nie był on tak uprzejmy, by w czasie naszej bytności, w te strony zawitać. W roku ub. padło tu 7 wilków i 1 ryś z czterech, które tu stale siedziały. W tym roku zabito dotąd tylko 1 wilka. Byliśmy także z wizytą w koszarach Korpusu Ochrony Pogranicza, gdzie razem z licznemi psami, chowa się na zupełnej swobodzie 1-roczna wilczyca, lecz nie widzieliśmy jej, bo właśnie tego dnia była na samotnej wycieczce w okolicznych lasach.

Nazajutrz rano, koło 10-ej, nagle wpadł do naszego mieszkania sławny tropiciel, leśnik Jeremiej z radosnym okrzykiem: „Wołk jeść". Towarzysz mój, który lubiąc ranne wywczasy, jeszcze leżał, chyba nigdy jeszcze w życiu tak szybko się nie zerwał, jak wtedy. — Pośpiesznie zebraliśmy się i siedli po dwóch na malutkie saneczki w jednego konia zaprzężone. Wraz z nami trzema, wyruszył na obławę także administrator i nadleśniczy z synem. Droga daleka, bo około 15 km, szybko nam przeszła w radosnem oczekiwaniu wymarzonych łowów. Jechaliśmy przez wspaniałe lasy, świerkowo liściaste, gdzie głównie eksploatuje się osikę i brzozę na eksport, świerk, tu jodłą zwany, nie ma prawie żadnej wartości.

Wreszcie dojechaliśmy do ostępu. Wilk był otropiony w kwartale o bokach 1 km długich, więc o powierzchni 100 ha. Stanęliśmy cichutko na linji, ja na lewem skrzydle strzelców w dosyć gęstym i zarośniętym lesie, łozami podszytym. Na znak dany strzałem, ruszyła naganka złożona z nielicznych tylko chłopaków i kilku leśników, którzy strzałami ślepemi, starali się wilka naprzód ruszyć. Po niewielkiej chwili usłyszałem przed sobą krzyki: „Wołk, wołk". Serce żywiej zabiło. Niestety wilk, nie dochodząc do linji, na jakie 200 kroków od niej skręcił w prawo i mimo krzyków i strzałów, nie widziany nawet przeze mnie, uszedł. Co robić? — Innego nie mamy otropionego, do domu daleko a tu dopiero dwunasta godzina. Postanawiamy więc jechać za nim, może po kilku kilometrach ochłonie z przestrachu i znowu zalegnie, jeszcze na horodzieckich terenach. Siadamy więc wszyscy z naganką na saneczki i objeżdżamy dalsze kwartały. Wreszcie na czwartym znajdujemy z powrotem trop naszego wilka, który skręca na ścieżkę, którą jedziemy. Kilka km trop prowadzi po tej ścieżce w kierunku na mszary bezkresne, zarosłe karłowatą sosną i trzciną. Emocje wielkie, jak daleko wilk poszedł. Wreszcie w pewnym momencie, odnajdujemy jego zeskok w lewo na dobrych kilka metrów od dróżki. Jeremiej na swoich malutkich saneczkach pośpiesznie miot objeżdża. W napięciu czekamy jego powrotu. — Czy wilk zaległ, czy może poszedł dalej? Wreszcie nadjeżdża i kiwa na nas. Wilk zaległ! Jak duchy ustawiamy się, bo miot całkiem mały, może 20 ha. Mają pędzić od tropu wchodniego. Na prawem skrzydle olbrzymie spuszczone jezioro, na lewem pustać, z rzadka tylko zarosła, a od frontu, gdzie stajemy: zarośle i trzciny. Liczymy więc, że na nas wilk wyjdzie. Miot za mały, by flanki sznurami zabezpieczyć, gdyż możnaby przytem wilka spłoszyć. Jeremiej, jakby przeczuciem wiedziony, ciągnie mnie zupełnie na prawe skrzydło myśliwych. Staję ukryty dobrze za wykrotem olchowym. Przedemną dosyć rzadkie krzaki i trzcina, ukośnie na prawo mały wał ziemny. Ledwo naganka ruszyła, gdy nagle na prawo wskos odemnie na tym wale ujrzałem wilka, idącego truchtem. Jak błyskawica, przeleciała mi myśl, że tak dzikiego zwierza trzeba strzelić kulą. Odstawiłem trzymaną w ręku śrutówkę i chwyciłem expres. Wilk dwa razy przystawał, odwracając się w lewo i nadsłuchując w miot. Gdy znów się chciał odwrócić, strzeliłem. Wilk momentalnie się zapadł w śniegu i tylko machnięcie polanem wskazało mi, że leży. Poszedłem ku niemu, licząc kroki, było ich 75. — Kula wskutek dania strzału w momencie, gdy wilk się odwracał, trafiła w nasadę szyi, a wyszła lewym policzkiem. Radość moja była ogromna. Ze wzruszenia ukląkłem w śniegu i westchnąłem dziękczynnie do św. Huberta. Pierwszy mój wilk, był to duży 3-letni samiec o wspaniałem futrze. Złożyliśmy go na saneczkach, przyczem koń poczuwszy wilka, zaczął jak szalony wierzgać, targając uprząż, tak, że tylko z największym trudem udało się nam go uspokoić. Wróciwszy nocą już do domu, obliczyliśmy na mapie, że dnia tego zrobiliśmy 45 km saniami.

Kilka jeszcze dni zostaliśmy w gościnnym Horodźcu, czekając na wilki. Niestety nie pokazały się. Towarzysz mój marzył o podobnem spotkaniu, jak moje, a ja chciałem choć zobaczyć jeszcze wilka, gdyż pierwszy raz miałem uczucie, że mam do czynienia z naprawdę dzikiem zwierzęciem, wrażenie, którego nawet w spotkaniu z grubym odyńcem, nigdy nie odczułem.

Na zakończenie opowiem pokrótce dwa zdarzenia z wilkami, które miał w Horodźcu ojciec obecnego właściciela. Raz siedząc latem przy kolacji, a nie mogąc się jej dalszego ciągu doczekać przez długi czas, wstał, by zobaczyć, co się dzieje. Gdy wyszedł na schody prowadzące do oficyny, gdzie była kuchnia, natknął się na leżące na ziemi półmiski. Całą zaś służbę znalazł zatarasowaną w kuchni, w najwyższym popłochu. Powodem tego był wilk, który przebiegł opodal domu, w chwili, gdy niesiono kolację. — Innym znów razem, siedząc wieczorem, latem, na ganku, zobaczył, jak niespodzianie z krzaków wyskoczył wilk i rzucił się na przechodzącego stróża, który na szczęście miał siekierę w ręku, wracając od rąbania drzewa. Nią jednym zamachem rozpłatał głowę wilka, który jak się później okazało, był wściekły.

Ale wypadki tym podobne należą do rzadkości, wilk jest tchórzem i unika ludzi, latem tylko, gdy ma młode, czyni szkody w drobiu i na pastwiskach, porywając

owce i źrebięta, a zimą żyje naogół dostatnio, żywiąc się licznemi tu bielakami...

Tak oto zapełniła się znów jedna karta mych wspomnień łowieckich. Pełni wielkiej wdzięczności dla kochanego gospodarza, wróciliśmy do domu, uwożąc najmilsze wspomnienia... i obietnicę ponowienia tych łowów na rok przyszły.



ANDRZEJ STRZEMIĘ CHWALIBÓG

Jak polowano z ogarami

Węgierskie przysłowie mówi: „Piękna kobieta i dobry koń, szkoda, żeby się starzeli“, — ale jsezcze większa szkoda, by to, co było wiekami uświęconym zwyczajem, i co najlepiej charakteryzowało rycerskość życia naszych przodków, poszło w niepamięć!! To też uważam, że jest obowiązkiem każdego starszego myśliwego, bodaj w formie pogawędki, przekazać młodszemu pokoleniu, zwyczaje łowieckie i sposoby polowania z czasów swej młodości.

Przeżycia pierwszych lat młodości miały w sobie tyle zapału uroku i czaru, że nawet sześćdziesiąt lat, jakie odtąd minęły, nie były w stanie wystudzić i zatrzeć tych wrażeń, tak, że na wspomnienie tych chwil dziś jeszcze, krew żwawiej krąży, i młodość zdaje się powracać!

Sześćdziesiąt lat minęło od czasu, gdy jako mały chłopczyk, pod opieką ś. p. ojca mego, w polowaniach z ogarami pierwsze kroki w zawodzie myśliwskim czyniłem. A była to nie łatwa szkoła, bo ś. p. ojciec mój był znakomitym myśliwym, który jako zesłaniec polityczny, wiele lat na osiedleniu w Syberji przeżył, w tajgach i borach azjatyckich, miał sposobność w łowiectwie na różnorodną zwierzynę dużego nabrać doświadczenia, — to też był bardzo wymagającym co do obchodzenia się z bronią, i przestrzegania wszelkich przepisów racjonalnego łowiectwa.

Było nas dwóch braci, w wieku: 8 i 9 lat, gdy ojciec kupił nam ładne małe strzelbki pojedynki, jak na ówczas powszechnie w użyciu będące „kapslówki“, bo odtylcówek jeszcze mało było. Obchodzenie się z taką bronią było bardzo niebezpiecznem, a zwłaszcza przy nabijaniu, gdyż naboje w domu w rurkach blaszanych przygotowane, pakułami zatkane, po każdym strzale, trzeba było do lufy wsypywać i stemplem dobrze przybijać. A ileż to ostrożności trzeba było zachować, przy zakładaniu kapiszonów i strzec się przed trąceniem kurkiem spuszczonym, o coś twardego; to też w pierwszych latach nie wolno nam było nabijać broni, a ś. p. ojciec sam to czynił, za każdym razem nie szczędząc uwag, jakie należy ostrożności zachować, a każda niedokładność karaną była bez pardonu, kilkudniowym zakazem polowania. Nic też dziwnego, że po takiem wyszkoleniu, żaden z nas nie zwrócił nigdy żadnej broni, nawet z drzewa lub z piernika na odpuście kupionej, wylotem w kierunku ludzi, — i tak też być powinno, bo wszystkie przypadki z bronią, nieraz tak bardzo tragiczne, z regóły zdarzają się z bronią, rzekomo nie nabitą lub zabezpieczoną.

Wobec niemożności, po powstaniu, powrotu do majątku rodzinnego, położonego w ówczesnej Kongresówce, ś. p. ojciec mój, nie chcąc mieszkać w mieście, wydzierżawił w bliskości Krakowa, folwark Sidzinę, od rządu austrjackiego, a na tę decyzję wpłynęła głównie okoliczność, że udało Mu się wydzierżawić od zarządu domen i lasów państwowych rewir myśliwski dawnego Opactwa Tynieckiego, o obszarze kilku tysięcy morgów, składający się oprócz dwóch dużych stawów, łąk i pól, w znacznej części z lasów pokrywających cały szereg mniejszych i większych gór i pagórków tegoż rewiru. Był to idealny teren do polowania z ogarami, tam też przenoszę się myślą, by wznowić promienne wspomnienia pierwszych lat młodości i myśliwstwa, i spróbuję opisać, jak się te polowania odbywały.

Gdy tylko pierwsze przymrozki jesienne okryły złotem i purpurą przyległe lasy liściaste, zaczynało się polowanie z ogarami, — ustawa pozwalała wówczas już z dniem pierwszym września polować na zające.

Cudowny dzień jesienny, jaki tylko w Polsce jest znany, od samego rana pełno słońca i światła! Aż oczy razi! Na trawnikach siwy szron, w którego krzyształach załamują się promienie słoneczne, świecąc tęczowemi barwami jak klejnoty bajkowego skarbu! Już z brzaskiem dnia, stary strzelec „Jędrzejcio“, nasz ulubieniec, zagrał przed domem pobudkę, na rogu jałowcowym własnego wyrobu, o bardzo silnym, pełnym i miłym głosie. Zrywaliśmy się ze snu i w krótkim czasie ubrani i po śniadaniu, byliśmy gotowi do wymarszu. Zwykle był ktoś z gości, czy to z sąsiadów lub z Krakowa. — O spaniu nie było mowy, bo ogary zamknięte w pobliskiej psiarni, zrozumiały, że ta pobudka i do nich się odnosi, i oznacza polowanie, to też szczekaniem i skomleniem jak najgłośniejszem objawiały swoją gotowość i zniecierpliwienie, aż do chwili, gdy psiarczyk Józek pospinał je na sforach parami i wyprowadził przed dwór. Stary Jędrzejcio zadął w róg: „pojezdnego“ i całe towarzystwo wyruszało w drogę.

Na czele szedł ś. p. ojciec, z którymś z wiarusów kolegów z powstania, za nimi goście i my, dalej stary Jędrzej a na końcu Józek, z całych sił opierający się, by

go ogary nie uniosły. Gdy się zbliżono do lasu, orszak dzielił się na dwie części, Jędrzej i Józek zostawali w miejscu, a myśliwi przechodzili najbliższemi ścieżkami na szczyty gór i pagórków, gdzie ich rozstawiał zwykle sam ojciec, dając wskazówki, skąd należy się spodziewać zwierza i gdzie trzeba zwracać uwagę, by zwierz nie przeszedł nie strzelany, bo to było największym grzechem; spudłować wolno było, lecz puścić bez strzału zwierzynę, to: „crimen". — Gdy już wszyscy myśliwi obstawieni byli na ścieżkach i przesmykach, ojciec zadął na rogu znaną nutę „pojezdnego", na co tak samo odpowiedział Jędrzej, zaś Józek, spuszczał ogary ze sfór i ciągłem nawoływaniem, gwizdaniem i podszczuwaniem zachęcał je do szukania. Zwykle nie długo trzeba było czekać, aż dał się słyszeć, najpierw pojedyńczy głos któregoś z psów, który jeszcze nie pewny swego, „zławiał" po nocnych tropach zająca, lecz wkrótce nagłe nerwowe szczekanie zwiastowało, że szarak został „ruszony" z „kotliny", i psy „na oko" go gonią. Teraz wszystkie psy w największym pędzie przybiegały z pomogą w gonieniu.

Z daleka na naszych stanowiskach, odróżnialiśmy według głosów nam znanych, które psy gon zaczęły, a które się do nich przyłączyły? Był stary weteran Zagraj, który grubym, basowym głosem, od czasu do czasu dawał znać, że i on jest przy pracy, co było dowodem, że to jest sprawa poważna i zwierz rzeczywiście jest przed psami. „Śpiewka" i „Fagot", cienkiemi głosami mu wtórowały, lecz ich prędkie i nerwowe „głoszenie" mniej było nieraz wiarygodne, bo zbyt szybko biegnąc za tropem, „ponosiły" i nieraz tenże gubiły; dopiero pomału nadchodzący „Zagraj", prostował błędy i sprowadzał gon na właściwe tory. — Inne psy jak: „Śpiewak", „Tropisz" i „Lutnia", raczej dla ładnych, dźwięcznych głosów, służyły do skompletowania orkiestry, zaś do gonienia nie wiele były warte.

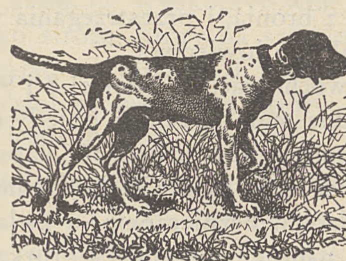
Jakaż to była emocja! Jak serce gwałtownie tłukło się w piersi, gdy nas stojących na stanowiskach, doszedł głos całej sfory psów, zwiastujący, że zwierz „ruszony"! Strzelbę ręce nerwowo ściskały, a słuch i wzrok były w najwyższem napięciu! — Bo nie zawsze chodziło tu o szaraka, który skacząc, zawsze znaczny szelest robi w opadłych liściach, lecz lis stary, chytrze, cichutko, unikając najmniejszego hałasu, jak cień zjawia się niespodzianie, tam gdzie go się najmniej spodziewano, i równie szybko wpada w gąszcze, gdy spostrzeże niebezpieczeństwo, tak że zawsze trzeba być do strzału gotowym. Dobrze, jeżeli sojka pod nami w wąwozie zaskrzeczy, bo ona zobaczywszy lisa, zawsze nas ostrzega i dopomaga w gotowości do strzału, zdradzając jego obecność. A może ona jest tak mściwą na lisa za to, że często zrabuje jej śpiżarnię, jaką sobie na zimę przygotowała, zakopując w lesie w dołeczku w ziemi, laskowe orzechy, których i lis jest wielkim amatorem. — Zależnie od kierunku gonu, jego prostej linji, lub częstych zakrętów i zboczeń, możemy prawie na pewne ocenić, czy psy gonią szaraka, czy lisa, którego kierunek biegu jest zwykle prosty. Orkiestra cała już „głosi", i już do połowy góry dochodzi, — wtem pada strzał, na samej przełęczy góry, lecz widocznie strzał chybiony, bo strzelec nawołuje: „na tu tu — na tu tu", co ma obowiązek czynić tak długo, aż psy nadbiegną idąc za tropem, bo inaczej często zdarzałoby się, że psy po strzale się „uniosą" i trop zgubią, więc obowiązkiem myśliwego jest psy na trop nawołać, by dalej goniły. — W razie ubicia zwierzyny, myśliwy woła: na ho ho! na ho ho! i psom daje zaraz „odprawę", t. j. wnętrzności i „skoki", by psy wynagrodzić i do dalszej pracy zachęcić.

Strzelec lub psiarczyk teraz otrąbią „pojezdne", to znaczy, że psy mają do nich powrócić i dalszą partję lasu przeszukać, by cały rewir opolować. W razie ubicia lisa, myśliwy trąbi, w najwyższym tonie „pojezdne" i zaraz potem sygnał „zbiórki", składający się z krótkich, urywanych tonów, prędko po sobie następujących. Na ten głos psiarczyk przychodzi i lisa „obieli", by nie potrzebował go dźwigać, — i tylko skórę chowa do torby, a lisa wiesza na drzewie, gdzie uschnie jak mumja, nie psując się przez lat kilka, a stanowisko zwie się odtąd: „pod lisem".

Jeżeli strzeli się grubego zwierza, to sygnał dany jest jak najgrubszym tonem, tak, że całe towarzystwo zaraz wie, że padł rogacz lub dzik. Zwykle po udanym gonie, myśliwi, na sygnał „zbiórki" także się schodzą, by: „oblać trupa" t. j. pociągnąć z manierki wódeczki i zjeść przekąskę, którą każdemu myśliwemu przed wyruszeniem z domu wkłada się do torby. Po posiłku zostaje ułożony plan dalszych łowów, myśliwi otrzymują wskazówki, gdzie się mają rozstawić, a strzelec i psiarczyk, jak mają psami „podkładać".

Dużoby było do opowiadania, różnych zwyczajów myśliwskich stosowanych w polowaniu z ogarami, jak również opowiadań i praktyk, których dziś już nie znają i nie używają, lecz że wobec obecnie obowiązujących przepisów ustawy łowieckiej, wymagającej 2000 hektarów rewiru dla polowania z ogarami, ten rodzaj polowania traci rację bytu, więc nie będę o nich pisał, bo zbyt mało jest takich szczęśliwców, którzyby jeszcze z ogarami polować mogli. — A jednak jest to najpiękniejsze polowanie, a urok jego nie da się porównać z polowaniami z nagonką.

Można jednak ten rodzaj polowania uprawiać w górach z jamnikami górskiemi, o czem już na innem miejscu pisałem.



WACŁAW TRZETRZEWIŃSKI

RAMOTY GŁUSZCOWE

I

WEZWANIE

Przyjedź! idą telegramy
Do miłego łowów druha.
Otwierają nam się bramy
Tajemnego borów ducha.

Dziś widziałem w gwiazd szeregu
Wracające kluczem ptaki,
A na czystym kniei śniegu.
Wyczytałem głuszca znaki.

Wiesz! co znaczy to pisanie.
Więc przyjeżdżaj, czasu szkoda.
Pora toków wnet nastanie,
Bo w jeziorze rusza woda.

II

W KNAJPIE

Precz z jazbandem! cicho dranie!
Hejże skrzypku graj bez lęku.
Echa puszczy, głuszca granie,
Chcę usłyszeć w tonie dźwięku!
Wszystkie łowów gwarne głosy,
Wrzask nagonki i psów gony
Niech tu biją pod niebiosy,
A więc grajku uderz w tony!
Może powie skrzypka Twoja
To, co szepcą wrzosy w lesie,
I gdzie poszła dusza moja,
Jak daleko wiatr ją niesie.
Garson! płacić! jechać muszę,
Nim poranne wejdą zorze;
Może znajdę moją duszę
W Marywilskim cichym borze.

III

POWIEDZ CZEMU

Powiedz czemu tak kochana,
Ta głuszcowa pieśń płomienna,
Szeptem wiatru porywana,
Taka dziwna, tak wiosenna?
Może w nocną toku chwilę
Gwarzą sosny ojców sprawy,
Kto tam leży w tej mogile,
Co ją kryją leśne trawy.
Może wówczas, gdy rozdnieje,
To dąbrowa się rozgada
I wiekowe wspomni dzieje
Rycerskiego ojców dziada.
Dawnych czasów malowidła
Już poranne echa tłumią,
Pancernego znaku skrzydła
Dotąd jeszcze w gaju szumią.

(C. d. n.).



Pamięci

Rudolfa Emila hr. Baworowskiego

Nie ma jeszcze dwóch miesięcy od wydarzenia się katastrofy, co jak grom uderzyła w tych wszystkich, którzy w piersi noszą zarzewie świętej pasji, — myślistwem zwanej.

Oto z ręki skrytobójczej, niecnego kłusownika-bandyty, padł młody i gorący wyznawca św. Huberta — Rudolf Emil hr. Baworowski.

I — jeżeli to wspomnienie, tych prostych słów kilka, szczerą i prawdziwą przyjaźnią do ś. p. Zmarłego, podyktowanych, tu właśnie umieszczam, to powodem tego jest przedewszystkiem fakt, że ś. p. hr. Baworowski gorąco ukochał przyrodę i łowiectwo, — i będąc także doskonałym strzelcem, — był przedewszystkiem myśliwym. I to — rzec można — „myśliwym przed Panem" w całem tego słowa znaczeniu.

Wychowany za granicą, przybył ś. p. Zmarły do Polski przed kilku laty. — Mogłoby się zdawać, że zupełnie odmienne warunki, nowe stosunki, w jakie wchodził, nowi ludzie, których poznawał, — wszystko to stworzy pewne początkowe trudności aklimatyzacyjne. Nic podobnego!

Rudolf hr. Baworowski, szturmem brał serca wszystkich tych, z którymi Go los zetknął, i nie było wśród Jego znajomych żadnego, któryby po kilku z Nim spotkaniach nie wynosił wrażenia, że to jest człowiek o kryształowym charakterze, i złotem sercu.

Przemiły towarzysz, zawsze w dobrym humorze, bez cienia zawiści. ożywiał i rozweselał każde polowanie, w którem brał udział.

Jak już wspominałem, — zamiłowany myśliwy, nie uważał polowania za sport, lecz traktował je z punktu widzenia i ochrony zwierzyny także, sam wszystkiego dopilnowując.

I tak „na posterunku", trafiła go kula mordercy, w jednej z tych częstych chwil, które spędzał w specjalnie przez siebie umiłowanym, lesie.

Rzadko kiedy śmierć czyjaś tak wstrząsające czyni wrażenie i tyle w pozostałych budzi żalu, jak w tym wypadku. — Śmierć młodego, to zawsze coś, co przeraża jako anomalja, jako coś przeciwnego, ustalonemu przez naturę, porządkowi rzeczy. Lecz jeśli śmierć ta porywa kogoś, kto, — oprócz młodości — posiada wszelkie dane na pożytecznego obywatela kraju, i jaknajlepsze rokuje nadzieje, wtedy nie jest to już bolesny wypadek, ale śmierć taka staje się tragedją.

Ś. p. Zmarły, poza administracją rodzinnego majątku, gorliwie zajmował się sprawami natury społecznej. — Nie tak dawno, bo kilka miesięcy temu zaledwie, oglądaliśmy w czasopismach jego fotografję w otoczeniu Kopyczynieckiego Klubu Sportowego, którego był prezesem i protektorem. Starał się o nawiązanie kontaktu z ludnością miejscową, o zrozumienie jej potrzeb i interesów. A do jakiego stopnia udało Mu się w tak krótkim czasie zdobyć Jej miłość i przywiązanie, o tem chyba najlepiej świadczą owe nieprzebrane tłumy włościan, z daleko nawet położonych wsi przybyłych — nie dla „ciekawości" — lecz żeby oddać ostatnią przysługę Zmarłemu i w szczerym żalu, połączyć się z Jego najbliższymi i przyjaciółmi.

Opuściłeś nas przyjacielu kochany!

I nie zagra Ci już trąbki głos, ani nie zaszumi knieja, gdy w niej, z bronią w ręku, na grubego czatujesz zwierza! Ale pamięć Twa wśród nas zawsze pozostanie, tak jak w sercach naszych zostanie ból, żeśmy Cię utracili przedwcześnie, jak dusze nasze osmęcił żal, że Cię już wśród nas nie ujrzymy!

I niech Ci ta ziemia polska, którąś sercem ukochał, — lekką będzie!

Albert Sumiński





Leopold Łysakowski

em. radca Izby Skarbowej, długoletni członek i delegat M. T. Ł. na powiat Kołomyjski.

Tracimy w Zmarłym bardzo czynnego delegata i współpracownika. Interesował się On specjalnie ornitologją i Jego notatki tyczące się przelotów ptactwa, króre umieszczał w Łowcu, miały wielką wartość naukową.

Cześć jego pamięci! pokój jego duszy!



Konstanty Nowiński

lekarz, kresowiak, długoletni członek M. T. Ł.

zmarł dnia 1 kwietnia 1930 r., we Lwowie w 70 roku życia.

Cześć jego pamięci!

KORESPONDENCJE

Perehińsko, 10 grudnia 1930 r.

W sprawie nowelizacji ustawy łowieckiej

Znowu przybył bardzo poważny głos P. Stanisława Korwin-Milewskiego w Nrze 23 „Łowca" z 1930 roku str. 356, zatytułowany „O poprawę naszych stosunków łowieckich".

Zaznaczając w tym artykule słabe strony naszego stanu łowiectwa, Szanowny Autor między innemi podkreśla konieczność przepracowania obowiązującego „Prawa łowieckiego", z uwzględnieniem paroletniego już doświadczenia co do licznych jego braków.

Coraz liczniejsze podnoszenie potrzeby tej nowelizacji, wywoływane doznawanemi w praktyce jej niedociągnięciami — siłą swego naporu — zbliża przeprowadzenie tej sprawy.

Rzeczą przyszłego komitetu redakcyjnego będzie zebranie i rozważenie wszystkich tych głosów. Na czele ich postawiłbym najpoważniejszą pracę, którą sobie wtym kierunku zadał P. Kazimierz Wysocki z Ostrobuża, przetrutynowując w swym „Projekcie ustawy łowieckiej" artykuł po artykule, obowiązujące „Prawo" i czyniąc wnioski nowelizacyjne.

Autor, który nic połowicznie nie czyni, rozesłał celem zaktualizowania sprawy powyższe swe opracowanie szeroko. O ile wiem, jeszcze przed półrokiem otrzymały je przedewszystkiem „Polski Związek Stowarzyszeń łowieckich" i „Małopolskie Towarzystwo Łowieckie", wraz ze szczegółowemi motywami, zarówno, jak warszawski „Instytut Łowiectwa".

Najważniejsze w praktycznem łowiectwie tezy znajdują tam często nowe ujęcie, oparte na długoletniem i wielkiem doświadczeniu myśliwskiem. Toteż oczekiwać należy, że projekt ten poważnie przyczyni się do usunięcia dotychczas istniejących braków ustawowych.

Rzeczą raczej zbiorowych naszych instytucyj, jak jednostek, jest wydawanie opinji o takiej pracy, — jednak nie mogę nie podnieść nadzwyczaj przedmiotowego i głęboko ujętego uzasadnienia w „motywach", które przy nowej kodyfikacji powinny być bardzo gruntownie rozpatrzone.

Dr. W. B.

Stanisławów, w marcu 1931 r.

W dalszym ciągu mego sprawozdania umieszczonego w Nrze 1 „Łowca“ z dnia 1 stycznia b. r. podaję zestawienia ubitej zwierzyny w T-wie św. Huberta i T-wie Myśliwych w Stanisławowie, po koniec sezonu 1930/31 uwzględniając dla porównania sezon ubiegły 1929/30.

T w o św. H u b e r t a:

Strychańce: 1929/30, 17 XII. 15 strzelb, 12 zajęcy; — 1930/31, 10 XII. 11 strzelb, 14 zajęcy, 1 lis.

Sielec: 1929/30 nie polowano dla poprawy rozmnoży; — 1930/31, 17 XII. 17 strzelb, 58 zajęcy.

Dobrowlany: 1929/30, 23 XII. 16 strzelb, 17 zajęcy; 1930/31 23 XII. 20 strzelb, 52 zajęcy.

Załukiew: 1929/30 23 XI. 9 strzelb, 4 zające; — 1930/31 nie polowano z powodu złego stanu.

Jezupol II.: 1929/30 nie polowano z powodu złego stanu; — 1930/31 30 XII. 16 strzelb, 23 zajęcy.

Sielec II.: 1929/30 nie polowano dla poprawy rozmnoży; — 1930/31 6 I. 10 strzelb, 30 zajęcy.

Bednarów las: 1929/30 10 I. 11 strzelb, 11 zajęcy — 1930/31 13 I. 9 strzelb, 12 zajęcy. — Szczególnie bezkarne kłusownictwo.

Rybno: 1929/30 6 XII. 11 strzelb, 7 zajęcy; — 1930/31 12 strzelb, 20 zajęcy, 2 lisy.

Pobereże: 1929/30 30 XII. 13 strzelb, 21 zajęcy, 1 rogacz; 4 I. 14 strzelb, 20 zajęcy; — 1930/31 nie polowano z powodu utraty terenu.

Dołhe: 1929/30 16 XI. 17 strzelb, 7 zajęcy, 1 lis; 11 XII. 14 strzelb, 13 zajęcy; — 1930/31 nie polowano z powodu marnego stanu zwierzyny.

Zestawienie: 1929/30: 1 rogacz, 1 lis, 131 zajęcy, 1 jarząbek, 2 psy; — 1930/31: 1 jastrząb, 5 lisów, 325 zajęcy.

T w o M y ś l i w y c h:

Zabereże I. 1929/30 nie polowano z powodu złego stanu; — 1930/31 13 XII. 8 strzelb, 1 lis, 23 zajęcy.

Czerniejów Gaj: 1929/30 31 XII. 20 strzelb, 1 lis, 22 zajęcy; — 1930/31 20 XII 19 strzelb, 48 zajęcy.

Opryszowce: 1929/30 24 XII. 16 strzelb, 16 zajęcy; — 1930/31 20 strzelb, 67 zajęcy, 2 gołębiarze.

Mykietyńce: 1929/30 nie polowano dla rozmnoży; — 1930/31 13 strzelb, 79 zajęcy.

Czerniejów dwór: 1929/30 6 I. 23 strzelb, 1 rogacz, 13 zajęcy; — 1930/31 3 I. 10 strzelb, 67 zajęcy.

Perłowce: 1929/30: nie polowano, nowy teren; — 1930/31 11 I. 6 strzelb, 1 lis, 7 zajęcy.

Zawój - Rypianka: 1929/30 29 XI. 17 strzelb, 4 dziki, 4 lisy, 5 zajęcy; 30 I. 8 strzelb, 1 lis; — 1930/31 22 I. 16 strzelb, 5 dzików, 1 lis, 1 dzik; 11 III. 1 dzik.

Korzowa: 1929/30, nie polowano, nowy teren; — 1930/31 26 I. 7 strzelb, 20 zajęcy.

Trościaniec: 1929/30 21 XII. 21 strzelb, 2 dziki, 2 lisy, 7 zajęcy; 24 I. 12 strzelb, 3 dziki, 1 lis; — 1930/31 30 I. 21 strzelb, 1 lis, 8 zajęcy; 3 III. 7 strzelb, 7 dzików.

Zestawienie: 1929/30: 9 dzików, 10 lisów, 1 rogacz, 208 zajęcy, 1 gołębiarz; — 1930/31: 13 dzików, 5 lisów, 651 zajęcy, 3 gołębiarze, 1 pies.

K. Piórkowski

Wczesne zajączki marczaki przepadły

Dnia 6-go z. m., przyniósł mi gajowy 3-dniowego zajączka nieżywego, zmarzniętego (8° R.) lecz w 3 dni później dozorca polowania doniósł mi, że widział kilkudniowego zajączka biegającego. — Czy będzie co z tego?

Adolf Karpak
nadleśniczy

Wykaz zwierzyny łownej i szkodników zabitych na terenach Poleskiego Tow. Myśliwskiego

Rok	Jeleń	Dzik	Borsuk	Ryś	Wilk	Lis	Wydra	Kuna	Tchórz	Łasica	Wiewiórka	Rogacz	Bielak	Zając	Głuszec	Cietrzew	Słonka	Jarząbek	Derkacz	Kaczor	Dubelt	Kszyk	Kaczka	Szkodniki	RAZEM sztuk
1921/22	—	20	—	—	—	2	—	—	—	—	—	8	—	15	6	8	26	10	—	—	—	1	6	4	106
1922/23	—	13	—	1	4	4	2	4	1	—	—	8	—	4	13	29	58	16	—	—	28	2	42	19	248
1923/24	—	29	—	1	8	7	1	12	—	—	—	3	—	5	20	80	68	6	—	—	174	99	62	131	706
1924/25	—	8	2	—	22	1	—	2	—	—	—	1	—	8	26	34	58	—	—	9	28	9	14	119	341
1925/26	1	64	—	7	1	3	—	1	—	—	14	5	9	11	40	46	52	43	—	23	1	3	9	241	574
1926/27	2	97	2	1	10	2	—	6	10	12	380	18	1	8	52	28	55	10	—	10	193	124	20	225	1266
1927/28	—	18	—	2	8	—	—	—	—	—	—	9	—	35	—	—	61	—	—	—	63	86	—	315	597
1928/29	1	12	—	6	2	—	—	1	12	—	—	6	3	1	21	22	35	2	—	—	33	58	19	117	351
1929/30	—	11	—	—	1	—	—	—	—	—	—	—	—	—	32	12	37	—	—	—	26	4	1	185	309
1930/31	—	20	—	6	5	—	—	—	—	—	—	1	—	1	28	16	47	—	5	—	90	2	2	17	240
RAZEM	4	292	4	24	61	19	3	26	23	12	394	59	13	88	238	275	497	87	5	42	636	388	175	1373	4738

MISTRZ-ROTMISTRZ

Dalipan nie łżę

(Obrazki myśliwskie)

WRAŻENIA Z DODNIÓWKI

Dobranoc, idę jutro na dodniówkę na kaczki, muszę się więc wcześnie położyć, aby nie zaspać, a pożycz mi budzik, bo nie dowierzam służbie, że mnie wczas zbudzą.

— Idziesz sam? — pyta mnie brat. — Nie, wezmę ze sobą Pawełka, bo zna dobrze szuwary, zawiezie mnie więc na pewne strzelanie.

Pawełko Baran, to wielka dla mnie persona. Exkucharz, zawołany kłusownik i pierwszy mój mentor na polowaniach błotnych. „Ne strylajte panyczu do latajuszczych kaczok, szkoda patroniw, do seduszczoj po hołowci, tak najlipsze", — pouczał zapalczywego sztubaka, który gotów był palić i do kaczek na horyzoncie się zrywających i dublować jeszcze w zapamiętałości.

Budzik na trzecią nastawiony, głowa do poduszki i już Morfeusz oczy skleił. Bodaj to młode lata! Gdzie bądź i na czem bądź, takiego studenta położysz, wszędzie zaraz kamieniem zaśnie. Nie tak, jak teraz my starzy. To siennik gniecie, to poduszka za mało wypchana, to za gorąco, to za chłodno. Człek tonie w myślach niewesołych i już go sen odleciał i wloką się długie godziny, a nieraz świt szary do okien zaglądа, a ty się jeszcze z boku na bok przewracasz i sen cię morzy a zasnąć nie możesz.

Sunie koryto wolno i cicho po wązkiej strudze. Pawełko doświadczoną ręką, za pomocą żerdzi kieruje. Na niebie dopiero świtać poczęło i cicho jeszcze całkiem w szuwarach.

Dopiero gdzieniegdzie trzcinnik piśnie cieniuchnym głosikiem, lub wydra spłoszona, z głośnym chlustem zniknie pod wodą. — Wpływamy na znaną nam wielką halawę, na której środku sterczy kosz na ryby. Jakieś wielkie ptaszysko, niby poczwara jaka, siedzi na koszu i duma, dziobem ogromnym poważnie kiwając.

O Święty Hubercie, pozwól teraz nie chybić, daj to piękne trofeum do domu przywieźć, spraw, aby ta stara moja lefoszówka, choć raz, śrutów na wszystkie strony świata nie rozsypała.

Podnoszę strzelbę do oka, ciągnę wzrokiem po szynie i muszkę zwracam na łeb ptaka - potwora. Lecz cóż to? To ptaszysko jakoś mi się nagle zmienia! Łeb już nie jego, a mego srogiego profesora matematyki! Zerkając na mnie złośliwem okiem, tak skrzekliwym prawi głosem: „Mistrzu - Rotmistrzu! Ty tu bąki zbijasz i zamiast uczyć się matematyki, po polowaniach jeździsz? A wiesz ty co to jest ludolfina, co znaczy sinus i cosinus, do czego służy tangens i cotangens? Umiesz ty dowody matematyczne na tęczę, potrafisz wyliczyć zasady i kwasy? Widzisz, milczysz, nic nie umiesz, a ja nie popuszczę i ze wszystkich moich przedmiotów, będziesz miał tróję, trróję, trrr... trrr... trrr!!!

Potem zlany, budzę się w przerażeniu, zemocjonowany. Chwałaż Ci Panie, to tylko budzik dzwoni. Precz wstrętna maro, która sen tak straszny sprowadzasz, na wakacjonującego sztubaka.

Prędko zlewam głowę zimną wodą, zaglądam przez okno. Ciemno jeszcze, ale na ganku czeka już Pawełko i ćmi fajkę niewonną.

W mig ubieram się i ruszamy per pedes na błota, gdzie koło mostku czeka na nas czółno. Po krótkim marszu, z pierwszym brzaskiem, siadamy do koryta i jazda.

„Panyczu, ne szurpajte sia tak żyweńko, bo sia perewernemo", — szepcze stary wyga. — Dobrze mu mówić, ale koryto wązkie, a za siedzenie służy tylko mała wiązanka mokrego sitowia. Z pogardą dla przyszłych reumatyzmów, klękam na niej i staram się nie „szurpaty sia żyweńko".

Już mijamy kanał główny, skręcając na prawo. Stary tak cicho wiosłuje, a raczej żerdką popycha czółno, że posuwamy się bez szelestu, jak widma.

W tem w półmroku, rysują mi się jakieś niewyraźne kontury. Druga łódka! Kto tu już poluje? Wytężam wzrok i poznaję proboszcza. Siedzi skulony, bez słowa i ruchu, obok jeszcze jakaś postać siedzi, owinięta chustą.

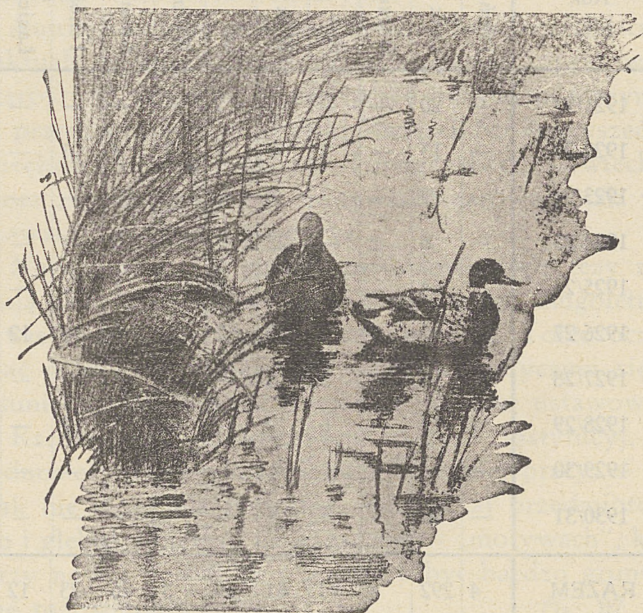
Co oni tu robią, pytam naiwnie szeptem Pawełka.

„Zawertajmo panyczu, ne majem tu szczo robyty. — wydko ona jemu kaczkie z wody tiahne".

Zawróciliśmy na inną halawę, i wkrótce wesoła kanonada powitała wschodzące słońce i powracające z nocnych żerowisk kaczki.

Strzelało się dużo do „seduszczych" i do „latajuszczych", a choć moja lefoszówka bardzo rozsypywała, przecież się tam coś zabiło, bo kaczek była moc niesłychana.

W godzinę potem wracałem do domu, rozmyślając o swoim strasznym śnie i o praktyczności pomysłu proboszcza, używania istot zawiniętych chustą, do aportowania kaczek.



Z Oddziału Małopolskiego Tow. Łowieckiego w Krakowie

Na posiedzeniu Wydziału dnia 26 marca b. r., poświęconem głównie sprawom dorocznego Ogólnego Zebrania Członków, ustalono termin dla tegoż Zebrania **na niedzielę dnia 26 (dwudziestegoszóstego) kwietnia b. r., o godzinie 10 przed południem,** w Krakowie, w sali Towarzystwa Strzeleckiego przy ul. Lubicz 16.

Porządek dzienny Zebrania:

1. Zagajenie. — 2. Odczytanie protokołu z poprzedniego Og. Zebr. — 3. Sprawozdanie z czynności i zamknięcia rachunków za r. 1930. — 4. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej oraz wniosek o udzielenie Wydziałowi absolutorjum. — 5. Wybór, w miejsce wylosowanych 2 członków i 1 zast. czł. Wydziału, nadto 1 zast. czł. Komisji rewizyjnej. — 6. Wnioski i interpelacje.

Na powyższe Ogólne Zebranie zapraszamy niniejszem wszystkich Członków Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, zamieszkałych na terytorjum Województwa krakowskiego.

Za Wydział Oddziału M. T. Ł. w Krakowie:

Stiller, em. gen. dyw. — *Morawetz*
Prezes — Sekretarz

W dniu 26 marca b. r., odbyło się posiedzenie Wydziału Odziału, na którem głównie omówione zostały sprawy dotyczące dorocznego Ogólnego Zebrania członków. — Termin Zebrania oznaczono na dzień 26 kwietnia.

Oddział na żądanie Władzy przedłożył już w lutym b. r. Województwu krakowskiemu w przedmiocie nowelizacji prawa łowieckiego swe uwagi co do zmian w niektórych artykułach tego prawa. — Dodatkowe uwagi członka Wydz. p. Andrzeja Strzemię Chwaliboga zużytkować będzie można odpowiednio na ustnej konferencji zwołanej przez Władze, względnie Związek Stowarzyszeń Łowieckich dla uzgodnienia postulatów nowelizacji.

Uchwalono przesłać na ręce Państwowej Rady Ochrony Przyrody w Krakowie jednomyślny komunikat Wydziału o gorącem przyłączeniu się do protestu z powodu zabicia 2 sztuk żubrów w lasach pszczyńskich na Śląsku i zniszczenia jednego z tych okazów.

Ustanowiono delegatem Odziału na Zarząd Główny Ligi Ochrony Przyrody w Warszawie, dnia 29 marca b. r., członka Wydziału p. mec. Adama Lardemera.

Zaszłe zmiany w stanie członków Oddziału oraz skład delegatów powiatowych, podane będą w najbliższem rocznem sprawozdaniu.

Kraków, dnia 1 kwietnia 1931 r.

Stiller em. gen. dyw. — *Morawetz*
Prezes — Sekretarz

Komunikaty

PROTOKÓŁ

Walnego Zebrania Wielkopolskiego Związku Myśliwych z dnia 15 marca 1931 r.

P. Prezes Chłapowski zagaja zebranie witając obecnych a przedewszystkiem senjorów naszego łowiectwa: pp.: Władysława Janta-Połczyńskiego, Zygmunta hr. Kurnatowskiego i Generała Unrunga, dalej Dyrektora Alkiewicza i mecenasa Dr. Koehlera jako delegata Towarzystwa Łowieckiego w Strzelnie, Dr. Modrzejewskiego z Wągrówca i p. Kryszkiewicza z Krotoszyna.

Zebranie godzi się na następujący porządek obrad:

1) Zagajenie
2) odczytanie protokółu z ostatniego Walnego Zebr.
3) Uroczyste wręczenie nagród leśnikom za schwytanie kłusowników
4) Referat p. mecenasa Dr. Stanisława Celichowskiego „Postępowanie przy szkodach"
5) sprawozdanie:
   a) prezesa
   b) skarbnika
   c) Komisji Rewizyjnej
6) Wybór nowego Zarządu na miejsce ustępującego (prezesa, 2 wiceprezesów, sekretarza, skarbnika i 4 członków)
7) wybór Komisji Rewizyjnej
8) Wybór Myśliwskiego Sądu Rozjemczego
9) Unormowanie wysokości składek członkowskich
10) sprawa Spółek Łowieckich i Klubów myśliwskich
11) Wolne wnioski
12) Zamknięcie.

Po odczytaniu przez sekretarza p. Bronikowskiego protokołu z ostatniego Walnego Zebrania i przyjęciu go przez zebranie, następuje u r o c z y s t a c h w i l a wręczenia nagród wszystkim tym dzielnym leśnikom, którzy się w roku ubiegłym odznaczyli wybitnie w walce z kłusownictwem. P. Prezes podkreśla, że jeszcze nigdy od czasów istnienia Związku nie była tak wielka liczba leśników nagrodzona, bo aż 22.

Niezmiernie ciekawy referat p. mecenasa Dr. Stanisława Celichowskiego „Postępowanie przy szkodach", w którym mówca bardzo szczegółowo omawiał zawiłe drogi przepisane naszą ustawą łowiecką przy postępowaniu przy szkodach, przyjęło zebranie oklaskami.

Następnie składa p. Prezes wyczerpujące sprawozdanie z czynności Zarządu, dalej Wydziału Wykonawczego oraz WZM. wogóle w roku ubiegłym.

Ubiegły rok obfitował w wytężoną pracę w naszym Związku. Ogółem odbył Zarząd 4 posiedzenia, Wydział Wykonawczy 24, zebrań delegatów odbyło się 2, liczba członków z 549 w roku ub., spadła do 500. Szeregi Związku opuścili na skutek śmierci członkowie: śp. śp. Janusz hr. Dąmbski, Alfred Paruszewski, Stanisław Bar. Chłapowski, Stanisław Szyfter, patron Gustaw

Raszewski. — Zebranie przez powstanie składa cześć zmarłym. Dalej omawia p. Prezes w swojem sprawozdaniu wielki zawód, który nas spotkał przez niedojście do skutku udziału Polski na Międzynarodowej Wystawie w Lipsku i to z powodu odmówienia w przeddzień zgłoszenia, subwencji przez Min. Spraw Zagranicznych i Ministerstwo Rolnictwa. Szkodę wyrządzoną przez brak udziału Polski jako jedynego kraju w Europie, propagandzie zagranicznej, uważa Prezes za bardzo wielką a cała wielomiesięczna praca przygotowawcza, którą się zajmował nasz sekretarjat, oraz znaczne koszta z tem związane, poszły niestety na marne. — W czerwcu odbył się jak rokrocznie konkurs strzelania kulowego i śrutowego na strzelnicy w Szelągu, który w ub. roku trwał tylko 2 dni, ponieważ pierwszy dzień strzelania zawodowych leśników z powodu małej liczby zgłoszeń, trzeba było skreślić. Natomiast brali leśnicy zawodowi udział w zwykłych konkursach strzelania. Udało nam się i w ub. roku tak, jak w poprzednich latach uzyskać i zakupić wiele bardzo pięknych i cennych nagród.

W czerwcu brał udział Prezes jako przewodniczący ekipy polskiej w Międzynarodowym Turnieju Strzelania do rzutków w Sopotach, gdzie udało się zdobyć polskiej ekipie pomorskiej wielki puhar a p. Józefowi Kiszkurno, zdobycie mistrzostwa Sopot.

We wrześniu urządził nasz Związek premjowy konkurs wyżłów dowodnych na terenach maj. Iwno. Zawody przedstawiały się bardzo ciekawie i wykazały dobry materjał psów.

Na zakończenie swojego sprawozdania, wylicza p. Prezes liczne prace, memorjały, interwencje u władz etc., które załatwiał z polecenia Zarządu sekretarjat.

Sprawozdanie skarbnika, p. Henryka Górskiego. — P. skarbnik zaznajamia zebranie z dokładnemi cyframi rozchodu i dochodu naszego Związku w r. ub., z których niestety wynika, że wskutek dość poważnej liczby zalegających składek, fundusz rezerwowy Związku uciułany w roku Powszechnej Wystawy Łowieckiej, poważnie został uszczuplony.

W imieniu Komisji Rewizyjnej, składa sprawozdanie, jako kooptowany członek, p. Roch Nowicki z Poznania, który podkreśla z uznaniem wzorowo prowadzoną książkowość kasową naszego sekretarjatu. Walne Zebranie udziela Zarządowi absolutorjum.

Przechodzi wniosek p. Radcy Zygmunta Chłapowskiego z Stawian o skreślenie zaległych składek członkowskich do r. 1929 włącznie.

Wybór nowego Zarządu. Ponieważ kadencja Zarządu po trzyletniem urzędowaniu w tym roku upłynęła, należało wybrać nowy Zarząd. Na wnioski p. Władysława Janty-Połczyńskiego i Zygmunta Chłapowskiego wybrano jednogłośnie na przeciąg trzech lat następujący nowy Zarząd:

Prezes ppłk. rez. K. Chłapowski, I. wiceprezes Franciszek Unrug, II. wiceprezes nadleśn. Tadeusz Mejer, skarbnik Henryk Górski, sekretarz Włodzimierz Bronikowski; — członkowie: Ignacy hr. Mielżyński, Ordynat Jan Taczanowski, hr. Wilhelm Hochberg, nadl. państw. Antoni Kłos, Roch Nowicki.

Do Komisji Rewizyjnej wybrano pp.: Dyrektora Alkiewicza, Rousseau i W. Błąka.

Do Myśliwskiego Sądu Rozjemczego wybrano ponownie pp.: na przewodniczącego p. Generała Antoniego Unruga, na członków: Władysława Jantę-Połczyńskiego i Władysława Pętkowskiego, na zast. przewodniczącego p. nadleśn. państw. Martyńca, na zast. członków p. Zygmunta hr. Kurnatowskiego i Edwarda hr. Mycielskiego.

Na wnioski p. Generała Unruga i Władysława Janty-Połczyńskiego, przechodzi uchwalenie składki członkowskiej na rok bież. w wysokości 40 zł. od członka zwyczajnego, 20 zł. od pp. nadleśniczych i 6 zł. od niższych funkcjonarjuszy leśnych.

P. Dyrektor Alkiewicz referuje, że przy Dyrekcji Lasów w Województwie tworzy się sekcja łowiecka, która obejmować będzie leśników państwowych i dużą część leśników prywatnych. Sekcja ta przystąpi jako integralna część do WZM.

Ponieważ w najbliższych dniach należy się spodziewać zatwierdzenia nowego statutu Związku, zwoła Zarząd po zatwierdzeniu wszystkich reprezentantów Kół i Klubów Łowieckich powiatowych na wspólne zebranie, celem omówienia przystąpienia ich do Związku.

W wolnych wnioskach zabiera głos p. nadleśn. Woszczyński, który wyraża życzenie, ażeby na wszystkich pokazach i wystawach łowieckich w Polsce oceniano trofea w jednolity sposób i to najlepiej na podstawie przyjętej ogólnie za granicą tabeli Nadlera, gdyż tylko równomierne ocenianie może dać ogółowi pogląd na wartość trofeów.

O godz. 7-mej wiecz. zamyka p. Prezes okrzykiem „Cześć św. Hubertowi" zebranie. Na koniec należy z wielkiem zadowoleniem stwierdzić wysoki poziom obrad, oraz harmonijny nastrój, który panował wśród zebranych, co jest najlepszym dowodem ugruntowania się wśród naszych członków wspólnych ideałów łowieckich.



SPRAWOZDANIE

z pokazu Trofeów Łowieckich Wielkopolskiego Związku Myśliwych

Wielkopolski Związek Myśliwych, urządził w dniach od 15 do 18 marca, pokaz trofeów łowieckich z r. 1929 i 1930 w lokalach Związku przy ul. Fr. Ratajczaka 17.

Uroczystego otwarcia Pokazu, dokonał w niedzielę dnia 15 ub. m. o godzinie 12-tej prezes p. ppułk. rez.

Chłapowski w obecności licznie zebranych przedstawicieli łowiectwa wielkopolskiego, podkreślając w swojem przemówieniu, że skromny ten pokaz nie ma być żadną wystawą i atrakcją dla szerszego ogółu, tylko przeglądem choć części zdobytych trofeów przez członków Związku.

Ogółem wystawiono 12 wieńców jelenich, 6 par rosoch danieli, 2 szable dzicze i kilkadziesiąt paroży sarnich. W przeddzień otwarcia pokazu Komisja Sędziowska złożona z pp.: Radcy Stanisława Kurnatowskiego, hr. Hochberga, nadleśn. T. Mejera i wiceprezesa Franciszka Unruga, dokonała dokładnego przeglądu eksponatów i stosując pomiary dla jeleni, według tabeli Nadlera, dla kozłów według tabeli Biegera, przyznała nagrody w formie listów pochwalnych WZM. następującym wystawcom:

Wieńce jeleni:

I. nagroda: p. Prezesowi Chłapowskiemu, za wieniec jelenia szesnastaka, zdobyty w r. 1930, który uzyskał 166,30 pkt.

II. nagroda: p. nadleśn. Martyńcowi za wieniec jelenia dziesiątaka, ubitego w nadleśn. Oborniki, który uzyskał 156,44 pkt.

III. nagroda: p. Staroście Narajewskiemu z Kościana, za wieniec jelenia-dziesiątaka, ubitego w państw. leśn. Błotkowie w r. 1930, który uzyskał 155,60 pkt.

Paroża sarnie:

I. nagr.: p. Zygmuntowi Skrzydlewskiemu z Nowejwsi za parostki sarnie, które uzyskały 122,45 pkt.

II. nagr.: p. Adolfowi Brzeskiemu z Mierzewa, za parostki sarnie, które uzyskały 119,80 pkt.

III. nagr. p. Prezesowi Zakrzewskiemu z Poznania, za parostki sarnie ubite w Iwnie, które uzyskały 101,2 pkt.

Pozatem przyznała Komisja Sędziowska list pochwalny p. Lehmann-Nitsche z Iłówca za szable dzicze i p. Ignacemu hr. Mielżyńskiemu z Iwna za kolekcję rosoch danieli.

Z ciekawych eksponatów należy jeszcze wymienić 2 ósmaki kozły, ubite przez Olgierda Ks. Czartoryskiego w r. 1929 w Czerniejewie, kolekcje myłkusów p. Dyrektora Stanisława Paliszewskiego z Poznania i p. Michała Mycielskiego z Gałowa.



Pokaz wzbudził żywe zainteresowanie mimo swoich skromnych rozmiarów wśród myśliwych naszego województwa i tylko żałować można, że dużo bardzo wybitnych eksponatów nie zostało wystawionych. Mamy nadzieję, że te właśnie eksponaty ukażą się na Pierwszym Pokazie Trofeów Łowieckich w maju w Warszawie.

Na dołączonej fotografji widzimy trzy nagrodzone wieńce jelenie (w pośrodku pierwsza nagr., po lewej stronie II. nagr., a po prawej stronie III. nagr.).

Przed wieńcami jeleni, umieszczone są 4 paroża sarnie, zaczynając I. nagr. od lewej strony —



Zainteresowanie się Zawodami Strzeleckiemi do talerzyków, organizowanemi na Strzelnicy „Pocisku", w Rembertowie pod Warszawą

Tegoroczne zawody Strzeleckie, urządzane przez Zakłady Amunicyjne „Pocisk" w dniach 4, 5, 6 i 7 maja r. b., na terenie własnej Strzelnicy w Rembertowie pod Warszawą, wzbudzają ze względu na przewidywany urozmaicony charakter programu zainteresowanie w szerokich sferach myśliwskich i sportowych, wymownym dowodem czego jest szereg już zadeklarowanych cennych nagród przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich, Wielkopolski Związek Myśliwych, Prezydenta Król. Stoł. Miasta Lwowa, Międzynarodowe Targi Wschodnie we Lwowie, f. „R. Ziegler" i innych. —

Wielce korzystnie ustalony w porozumieniu z Polskim Związkiem Stowarzyszeń Łowieckich termin zawodów, przypadający na okres Wystawy Psów i Pokazu Łowieckich Trofeów, w przededniu Zjazdu w Warszawie PP. Delegatów wszystkich Stowarzyszeń Łowieckich — w znacznym stopniu ułatwi szerokim kołom rzeszy myśliwych wzięcie udziału w Zawodach.

Wprowadzenie zaś do programu Zawodów klasyfikacji zawodników, oraz ustalenie przeszło 130 nagród do rozstrzelania, w tem pieniężnych na łączną kwotę 15.000 zł., umożliwi prawie każdemu zawodnikowi zdobycie szeregu nagród.

Wkońcu dodać należy, że oczekiwane przybycie gości zagranicznych przyczyni się znacznie do ożywienia akcji strzeleckiej w konkurencjach oraz do uświetnienia Zawodów.

Zakłady Amunicyjne „POCISK" Sp. Akc.

„Aktualne Wiadomości Leśnicze" (organ Spółdzielni Leśników we Lwowie), podaje w Nr. 8 z dnia 12 kwietnia 1931 r., następującą notatkę:

Zebranie dyskusyjne. Poruszony na VII. zebraniu dyskusyjnem w dniu 26 marca b. r. we Lwowie przez p. K. Jackowskiego problem walki z kłusownictwem wzbudził wielkie zainteresowanie, a żywa dyskusja, w której brali udział m. in. pp. dyr. Stuchly, insp. Paszyński, inż. Pilat i p. Zaklika, wskazywała na konieczność zwrócenia baczniejszej uwagi na przyczyny rozszerzania się tej plagi.

Ponadto na zebraniu tem poruszył p. inż. K. Pilat sprawę prowokacji, jakiej dopuścili się wobec Państwa Polskiego członkowie niemieckiego Tow. Łowieckiego (Allg. D. J. V.) w Berlinie, ogłaszając w czasopiśmie „Zeitschrift für Forst u. Jagdwesen", Berlin, Nr. 3, z marca 1931, niesłychanie obelżywą odezwę do niemieckich myśliwych, by bojkotowali zaproszenia polskiego Rządu do korzystania z polskich łowisk.

Fakt takiej, godnej tylko niemieckich szowinistów odpowiedzi na nasze życzliwe i szczere zaproszenie, wymaga napiętnowania przez wszystkie leśne i łowieckie stowarzyszenia.



Z WYDAWNICTW

Marcowy Nr. **„Ech Leśnych"**, bogato ilustrowany, wydany w estetycznej szacie graficznej, przynosi na 32 stronicach tekstu szereg artykułów z dziedziny leśnictwa i łowiectwa oraz obszerny dział literacki. M. in. B. Thorel, omawia inwentaryzację lasów w Szwecji, H. Opalańczuk sposoby ochrony ptaków na wiosnę, a Cz. Garton znaczenie pszczelnictwa w naszych lasach. W dziale „Echa Łowieckie" znajdujemy ciekawe wiadomości w sprawie ostatniego wypadku zastrzelenia dwóch żubrów w lasach Ks. Pszczyńskiego oraz feljeton A. Rzewuskiego o polowaniu zimą na cietrzewie z jamek. Pozatem zeszyt przynosi artykuły A. Kaznowskiego o stuleciu kolei żelaznej i A. Wysockiego o bibljotekach w Wielkopolsce, kronikę „Z miesiąca", „Coś dla Pań", sprawozdania teatralne, recenzje ostatnich wydawnictw, oraz Kącik rozrywkowy z zadaniami umysłowemi. Nowele L. Chociłowskiego „Cmentarz na skwerze" i J. Jankowskiego „Zagrób", dopełniają treści zeszytu.

SPROSTOWANIA

W numerze 6 „Łowca" z 16 marca 1931 r., na str. 89, wydrukowano mylnie miejscowość „Koczyn", zamiast „R o c z y n".

W korespondencji Barona Józefa Horocha, Stary Gwoździec, umieszczonej w numerze 6 „Łowca" z 16 marca 1931 r., strona 92, prostuje się ustęp:

Ubito 5 żbików — nie 4 lutego b. r. — tylko w dniach 30 marca 1930, 26 stycznia, 4, 12 i 23 lutego 1931, tudzież 18 a nie 61 lisów. Oprócz tego w roku 1929-tym został ubity jeden żbik przez leśniczego.

W numerze 7 „Łowca" na stronicy pierwszej w artykule „Obrazki z życia egzotycznych zwierząt" 7 wiersz od góry za świeżym „trupem", ma być za świeżym „t r o p e m".

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16